



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Modlitwa majowa.

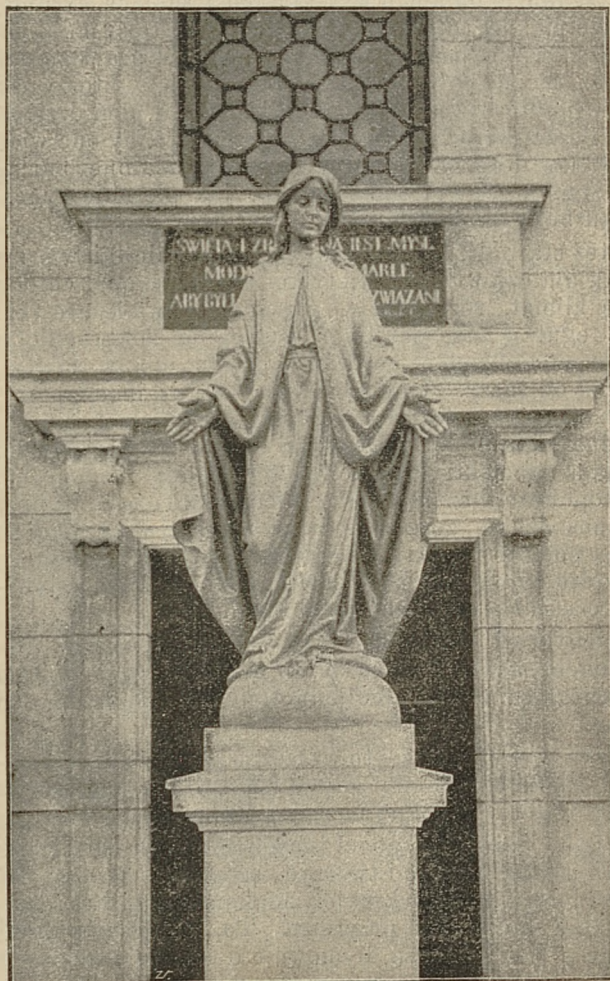
Już Maj swe słodkie rozlewa tchnienia,
Barwi kwiatami i złoci słońcem,
Pobożne w górę płyną westchnienia,
Bo Maj — Najświętszej Panny miesiącem.
I ja się modłę: *Królowo nieba!*
Racz zesłać wszystko, co nam potrzeba.

Tyleś mi szczęścia dał dobry Boże,
Że na podziękę za Twoje łaski
Serce dziecięce starczyć nie może, —
Więc, w lic Maryi wpatrzona blaski,
Wołam: *Radości naszych przyczyno!*
Niech przez Twe usta me dzięki płyną!

Mam szczerą wolę za darów tyle
Nigdy złem żadnem nie skazić duszy, —
Jednak, gdy przyjdą pokusy chwile,
Jakże ta wola moja się kruszy!
Ucieczko grzesznych! Ty spiesz z obroną,
Nlekróć wstaje złych pokus grono!

Bywa, że nawet dziecięce oko
Łzami zapłynie — wola to Boga!
W sercu ból jakiś utkwii głęboko;
Lęk o kochanych — o siebie trwoga...
Mocy strapionych! wtedy zwę Ciebie:
Módl się tam za mną u Boga w niebie!

I spieszę, ufna w opiekę Twoję,
Twój wizerunek przystroić w kwiecie.
Ach! w najpiękniejsze, co mam, ustroję,
Niech będzie przy nim, jak jest na świecie,
Gdy Maj, ten miesiąc czci Twej oddany,
Stroi nam łąki, gaje i lany.



Statua N. Maryi Panny Łaskawej.

Przed kościołem powązkowskim w Warszawie.

STARE DRZEWA.

Wyjeżdżając gdziekolwiek na wieś, pewnieście zauważyli kochani czytelnicy, że po polach w wielu okolicach stoją gęsto sędziwe grusze dzikie, a czasem tu i owdzie zdarza się widzieć i poważne, rosochate dęby, o koronach rozłożystych. Jestto tem dziwniejsze, że pola nieraz usiane są temi drzewami nawet tam, gdzie naokół nie ma lasów, jak okiem sięgnąć.

Otóż drzewa te są szczątkami dawniejszych, 'nickiedy ogromnych borów i lasów, oszczędzone przez siekiere drwala. Są bowiem pewne zwyczajne, przekazywane pokoleniom przez pokolenia, a do nich należy poszanowanie dla gruszy, jako drzewa dającego ulubiony owoc włościaninowi. Zresztą wieśniacy nasi zauważyli bardzo dawno, że tak grusze, jak i dąb nie przeszkadzają zbożom i ziemniakom, w pobliżu sianym, rozwijając się i dawać dostateczne plony, gdyż drzewa te zapuszczają korzenie bardzo głęboko. Są one też ozdobą i osłoną gruntów jałowych, krzemienistych i piaskowych, pod któremi głęboko gdzieś ukrywa się glina; do niej korzenie ich powoli przenikają, a zaś doszedłszy, drwią sobie z suszy i jałowizny piasku, który po nad nimi zalega, zdobywając wilgoć i pokarm w podgruncie.

Jeżeli kmięć potrafi uszanować pewne drzewa i cieszy się niemi, gdy do późnego dojdą wieku, czyliż może być dziwnem, że ludzie od niego wykształceńsi, mający wyrobione poczucie piękna, otaczają osobliwą czcią te świadki minionych czasów, jakimi są stare drzewa? Wprawdzie nie o wszystkich można to powiedzieć, bo są i tacy, którzy dla zysku jedynie lub bez istotnej potrzeby, tną w pień drzewa, niepomni ile dziesiątek lat trzeba było czekać, by one wielkich wymiarów dorosły. Ogół wszakże na podobne barbarzyństwo oburza się i piętnuje je tak, jak piętnuje zęcanie się nad bezbronnyimi.

Bo też stare drzewa mają ważne znaczenie tak w przyrodzie, jak dla człowieka. Nietylko użyczają one chłodu i regulują klimat, rozumie się, gdy rosną w większem skupieniu. Regulują zaś, ponieważ wyziewają znaczne ilości wody, czerpanej z ziemi, powodują częste opady wilgoci, więc bronią od suszy. One są również naturalnemi piorunochronami, co szczególnie o iglastych i topolach powiedzieć można; igłami ich i gałęziami do góry wzniesionemi, wyładowywa się elektryczność między ziemią a chmurami, powoli, stopniowo, bez piorunów. Nie mówiąc o tem, że przy drogach posadzone, znaczą te drogi w nocy i w zawieje, że je cieniują podczas skwaru i od kurzu po części chronią, są drzewa nadto najpiękniejszą ozdobą ziemi i jedną z najważniejszych części składowych krajobrazu.

Gdziekolwiek lono ziemi nie jest niemi okryte, jak na pustyniach, skalistych górach lub nawet na stepach, tam albo przerażająca pustka albo jednotonność, gnębi i drażni człowieka.

Drzewa w przyrodzie—to wytyczne punkty i linie krajobrazu, to ruch i ożywienie, gdy je lekki wiatr porusza, to włosy na głowie tej wspólnej naszej matki ziemi.

Dla tego najwięksi poeci i myśliciele tak lubili siedzieć w ich cieniu, marzyć i tworzyć, czego przykładem był Jan z Czarnolasu, lub Mickiewicz, znakomity znawca i spozostawacz tak ludzi, jak przyrody. To, co mówi o drzewach naszych Pan Tadeusz, wymownie o tem świadczy.

Te parę rozważań podsuwamy wam, mili czytelnicy, pragnąc byście i wy patrzyli na stare drzewa, jako na szanowne pamiątki, jako na poczciwych i życzliwych przyjaciół, którzy człowiekowi służą i osłaniają go za życia, wierne oddając mu usługi po śmierci. Bo przecież z ich ciała robi się i kolebkę i trumnę, buduje się domy i wyrabia meble; ich ciałem ogrzewa się nasze ogniska, a nawet wyrabia się z niego papier, tak niezbędny do przenosze-

nia myśli ludzkich, główny sługa i pośrednik cywilizacyi wszelkiej.

Więc, kochani nasi, brońcie od bezmyślnych uszkodzeń każde drzewo, gdyby się na nie kto targał w waszej obecności; otaczajcie opieką te, które będą waszemi, a jeżeli wejdziecie w posiadanie choćby najmniejszej ziemi cząsteczki, sadźcie drzewa piękne i użyteczne. Sadźcie je niekoniecznie z myślą nie o sobie tylko, owszem pamiętajcie, że ci, którzy po was nadejdą, będą was błogosławili za te wspaniałe dary i pamiątki, jakie im w ogrodach, lasach i alejach przekażecie. Takimi kierując się szlachetnemi pobudkami, nie będziecie się zapewne wzdrażali sadzić nawet dęby i buki, choć one za waszego życia już wielkie nie wyrosną. Wszakże rodzice całe swoje doświadczenie, całe mienie przekazują dzieciom, a te znowu wnukom. Cała historia narodu, jego święte tradycje i język, więc i cała istota jego bytu, tą drogą przecież przechodzą, z ojców na synów i dalej tą samą koleją.

Sadźcie i ochraniajcie drzewa, szanujcie stare, a wycinajcie je dopiero wtedy, gdy już żyć dłużej nie mogą, gdy tego wymaga istotna konieczność.

E. Junkowski.

Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

A gdy panowie uśmiechali się na to określenie, dodał: — To je gazda od hal i od lasa: ma swoje dogadanie i swój sposób, jako i ludzie. Nie sieje, nie orze, nie kosi, nie jucha, a ma wszystko. Na wiosnę latem, chodzi w cuse potarganej jak dziad, biedy jednak nijakiej nie cierpi. Jak mu trza, bije owce po halak, zje jałowkę na lotku; żre borówki, rozmaite korzonki, ścina tłustą trawę na szalasiskak; jak mu sie kee, idzie na owies do dziedziny. Z ostatniej nędzy przed zimą je glony po źródłiskach, albo sywarek ka najdzie. Gości się dziś nie spodziewa, bo ik nie prosił.

— Gdzież Sabała radzi nocować? — zapytał malarz.

— W Kościeliskach o gospody nie bieda, ino bieda wybierać. Na ten przykład Zbójcekie okna, ka Janosik ze swymi chłopcami przebywał. Gospoda pigkna, przestrona.

— Więc idźmy tam! — rzekł malarz — prowadźcie nas.

Sabała się nie ruszał.

— Ino że tak głęboko schowana w lesie, co i po dniu nie łatwo do niej trafić.

— Taak?

— Jakież więcej macie gospody? Wy tu gazda od wielu lat i znacie Kościeliska na wylot.

— Do Zimnej groty was nie mogę prowadzić, bo tam lód leży miejscami, toby was zamroziło. Mam parę grot pod Pisaną, ale to nie dla was, bo wejście do nich za trudne. Wziąłbym was do Niżniej pod Zamkiem; widać z niej turnie Organów i Ratusz. A możebyście chcieli nocować w Grobach?

— Nie, żywcem w grobach kłaść się nie chcemy — rzekł śmiejąc się doktor. — Znam tę grotę, pełno w niej dziur, wgłębień, skrzel, występów, kominków fantastycznych, kaplic. Szukano tam widocznie skarbów kiedyś, jak tego ślady zostały w podziurawionych ścianach. Miejsce godne widzenia dla swej oryginalności, ale nie jako schronienie dla ludzi, zmęczonych całodzienną wycieczką i pragnących zacisznego spoczynku. Przytem jest tam mokro i ciągle z góry kapie.

— Mnie się zdaje, że Sabała naumyślnie wylicza swoje gospody, żeby nam ich mnogością zaimponować, choć wie, że żadna z dotąd wymienionych przydać się nam nie może. To jest figlarz — odezwał się malarz.

Ten którego posądzono, uśmiechnął się na te wyrazy, a znając słabość turystów, dodał jakby od niechcenia:

— Kamiennego mleka tam dość.

— O jakim mleku mowa? — zapytał Henryk.

— O wapiennem, które dla jego gęstości należałoby raczej nazwać śmietaną. Osadza się ono na ścianach groty i na sklepieniu, tworząc wzorzyste rzeźby, a z rzeźb tych później powstają stalaktyty.

Sabała mówił dalej:

— Jest też niezgorsza gospoda w Dzwonnicy, ale dostać się do niej bieda i nie można inaczej, ino trza smrek ściąć, poprzycinać gałęzie, wstawić go do dziury i dopiero spuścić się po nim na dół jak po drabinie.

— To i na cóż nam wyliczacie gospody, które nie zdały się na nic? A pan co na to mówisz, profesrze?

— Wszystko mi jedno, gdzie będę nocował — odrzekł Strand, który dotąd darować nie mógł malarzowi, że mu spłoszył traszkę.

Na to odezwał się przewodnik.

— Jest tu bliżutko za potokiem Raptawica, a w niej groty, co je odkrył pan Pawlikowski.

— Czy ta wielka turnia na prawo, gdzie są Dudowe kominy? — zapytał doktor.

— Tak panie. Są tam obszerne komory i okna dwa, jedno wychodzi na dolinę, a drugie na zbocze. Iść trzeba pod górę, po piargu ¹⁾; wejście łatwe, ale pod granią ²⁾ trzeba będzie pochodnią przyświecić.

— Nie mógł to Sabała od tego zacząć — mruknął doktor — tylko nam czas zmiażdżyć wyliczaniem swych gospód.

IX.

Wstążka błękitna.

Baronet, któremu zdano relację o wszystkich gospodach, zgodził się od razu na Raptawicę. Ruszono więc zaraz w drogę, wzięwszy pochodnie, ale ich nie zapalono, bo księżyc dość jasno świecił. Ścieżki nie było widać, tylko zarośla, a potem usypisko drobnych kamieni ruszających się pod nogami i staczających na dół przy stąpieniu. Miejscami usypisko to pokryte było śliską warstwą czarnej próchnicy, więc przewodnik zalecał ostrożność i trzymania się ściany pod którą szli, mając nad sobą ostrą grań poszarpanych turni. Przewodnik szedł naprzód, za nim baronet, za baronetem profesor, dalej doktor, malarz i Walter. Henryk postępował ostatni. Szereg zamykali górale niosący płachty z sianem na plecach i bagaże. Sabała szedł sobie bokiem po usypisku, swobodnie, z niedbałością człowieka, który jest u siebie w domu i zna każdy kąt.

Posuwając się tak powoli ale ciągle pod górę, weszli między oryginalne oderwy skalne, stojące samotnie jak ściany zwałonego budynku. Tu już srebrny promień księżycy dosięgnąć nie mógł. Przewodnik przystanął i kazał zatrzymać się wszystkim. Zapalono teraz pochodnie: światło ich ponuro błyskało między szczelinami skalnymi, przez które przechodzili. Ujrzano jakąś czeluść otwartą, ale przewodnik minął ją i zatrzymał się dopiero o kilkanaście kroków dalej.

Tutaj byli już u celu mozolnej i niezbyt bezpiecznej wędrówki. Przewodnik podniósł pochodnię wysoko do góry i oświetliwszy otwór do groty i tuż przy otworze okno, cisnął ją na ziemię i zagasił nogami ogień — a za jego przykładem inni uczynili to samo ze swojemi pochodniami. Zapanaowała zupełna ciemność i cisza, bo prowadzeni nie rozumieli co to znaczy, i myśl o zasadzce przeleciała Anglikom przez głowę. Ale dał się słyszeć trzask pocieranej za-

palki. Przewodnik zapalił świecę stearynową, którą wyjął w kieszeni i jał pierwszy na dół zstępować. Na zapytanie dla czego tak uczynił, skoro pochodnia lepiej oświetlałaby podziemie, odpowiedział, że dym pochodni smoli kamienne mleko i białe ulice w grotach na czarne zamienia.

Wejście było prawie ciasne, a pierwsza część groty niska, ale dalej jama rozszerzała się i przedłużała, kończąc oknem, którego dolny otwór dotykał poziomu. Była to obszerna komnata, dwadzieścia kilka metrów długa, a za nią ciągnął się cały szereg mniejszych i większych.

— No, tu im będzie przestronno — powiedział przewodnik, stanąwszy na środku i usiłując całość oświetlić, ale drobny migocący płomynek świecy nie mógł tego dokazać. Witold wpadł na myśl, żeby zapaloną pochodnię zatknąć w szczelinę skały na wprost bocznego okna, a światło jak z latarni ztamtąd do środka płynąc będzie — i uznano że pomysł jest dobry; wewnątrz jaskini otrzymało rembrantowskie oświetlenie — większa część jednak pozostać musiała w cieniu.

— Gospodę mamy obszerną — rzekł Jakób, rozglądając się — komnat w niej tyle, że każdy z nas mógłby mieć oddzielnie sypialnię, jadalnię, gabinet do pracy, nawet dobrze poszukawszy, znalazłaby się może i sala balowa. Ale zimno wieje ze ścian i korytarzy, i może lepiej byłoby przeprowadzić się do Krakowa. Jakie jest zdanie waszej Dostojności. Czy nie obawiasz się, sir, przeziębienia? Czuję wilgoć i słyszę krople wody, sączącej się ze sklepienia.

— Jeżeli panowie chcecie się ztąd wyprowadzić, nie będę się temu sprzeciwiał — odpowiedział — ale jeżeli mówiąc to, moją tylko osobę macie na względzie, zapewniam was, że możemy śmiało nocować w tym podziemnym pałacu. Reumatyzmu nie znam. Płuca mam mocne i jestem zahartowany na zmiany temperatury. W dzieciństwie — dodał, zawaławszy się — długie lata spędziłem w zimnym klimacie, a klimat Anglii także do łagodnych nie należy. Może dla was tu jest za zimno, zwłaszcza że macie z sobą dziecko. Nie chcę brać odpowiedzialności za jego zdrowie.

Wyraz — dziecko głęboko dotknął Henryka. Uważał się już za mężczeczną i umiał zapracować jeśli nie na chleb, to na książki, bo uczył młodszych od siebie.

— Przepraszam pana, sir — odezwał się drżącym głosem: — Nie jestem już dzieckiem. — Zahartowano mnie bardzo wczesnie na wszelkie niewygody i zmiany powietrza. Urodziłem się w skromnym dworku i nikt mnie nie rozpieszczal.

Anglik spojrzal zdziwiony na szlachetną twarz chłopca, który po raz trzeci zachowaniem się swoim zwracał jego uwagę. Przypatrywał mu się przez chwilę i nie znalazłszy odpowiedzi, mówił w dalszym ciągu do doktora:

— Pozwolę sobie tylko zaproponować panom, aby każdy z was zrzekł się oddzielnego apartamentu na rzecz ogólnego dobra. Ta oto grota jest dość obszerna, aby wszystkich nas wygodnie pomieścić, a przez dwa znajdujące się w niej okna płynie ciepłe powietrze z zewnątrz i łagodzi jej temperaturę wewnętrzną. Jestem pewny, że będzie tu znacznie cieplej niż w innych komnatach, może więc tutaj razem nocować będziemy. Jakże, czy zgadzacie się na to?

— Jak najchętniej — odpowiedzieli. — Wreszcie, jeśli nam będzie bardzo źle, zawsze jeszcze możemy się przeprowadzić.

— Many serdaki, siano i koce — dodał baronet — czegoż więcej nam potrzeba?

To powiedziałwszy przybliżył do ściany stoczek, który mu podał malarz i przypatrywał się bogatej rzeźbie, naśladowującej fantastyczne kwiaty i arabeski. Były to nacięki przypominające zwierzkorzewy morskie, zwane pospolicie białymi koralami, a ze sklepienia zwieszały się sople stalaktytów. Na końcach sopli błyszczały białawe krople wody, naksztalt łez. Profesor, postępujący za nim, odezwał się:

— Podpatrujemy naturę w chwili tworzenia. Bóg

¹⁾ Usypisko z drobnych ruchomych kamieni. ²⁾ Krawędź.



Ochronka. Dzieci z przytulku św. Zofii.

kreśli plany budowy, a woda posłuszna Jego prawom wykonuje je. Jest ona zarazem budowniczym i artystą.

— Przyznam się panu — odrzekł baronet — że chociaż ją widzę w tej chwili przy robocie, jednak nie bardzo sobie zdaję sprawę z jej czynności. Materyał, zwłaszcza sposób przygotowania go, ma dla mnie coś zagadkowego. Chemikiem, ani geologiem nie jestem. Zawsze interesowały mnie tylko kwiaty.

(d. c. n.)

Co to jest ochronka?

(Rzecz dzieje się w izbie robotnika w Łodzi)

Matka (wchodząc). No Zosiu, połóż swoje zabawki, weź chusteczkę na głowę, — wyjdziemy. Przed chwilą dowiedziałam się, że dzisiaj rozpoczyna się zapis do naszej kochanej ochronki.

Zosia Mamusiu najdroższa, ja już słyszałam trochę o ochronce, ale dobrze nie rozumiem, co ja tam robić będę, kiedy ja nic nie umiem... mamusiu ja się boję ..

Matka (glaszcząc ją po główce). Bać się nie masz czego, obie raczej cieszyć się będziemy bardzo, kiedy cię tam przyjmą Zosieczko, bo tyle ubogich matek prowadzi do nich swoje dzieci. Ten dom nowy na ochronkę wprowadzie wielki i piękny, ale czy wszystkie dzieci z naszej Łodzi się pomieszczą!... (zafrasowana) Mój Boże! żeby cię tylko przyjęli.

Zosia. A z czego ja się mam cieszyć, mamusiu?

Matka (poważnie). Słyszałaś już nieraz, że ja się wychowałam w Warszawie.. Otóż jak byłam małym dzieckiem, w twoim wieku, rodzice oddali mnie również do ochronki, chodziłam tam coś przez 4 lata i najmiej czasu ten wspominam ..

Zosia (przerwywając). Ale dlaczego ja mam chodzić do ochronki, kiedy mnie tak dobrze w domu! (kładzie główkę na kolanach matki i całuje ją w rękę).

Matka. Przedewszystkiem dlatego, że często musisz sama zostawać w mieszkaniu, bo ja codzień rano idę na targ po żywność, potem znowu przed południem z obiadem dla ojca do fabryki, a nieraz i popołudniu muszę odnieść bieliznę. Na dwór boję się ciebie wypuszczać, żebyś się nie bawiła z urwisami, a jak zostajesz sama w mieszkaniu to znowu boję się, żebyś sobie czego złego nie zrobiła. Pamiętasz, jak się poparzyłaś, chcąc odstawić garnek z kipiącą wodą, i jak to raz kot cię podrapał.. O, jeszcze znalazł (całuje ją).

Zosia. Oj prawda! napłakałam się wtedy dosyć, bo też ja często nie wiem co robić, kiedy mamusia nie wraca i nie wraca...

Matka (podnosząc oczy w górę i składając ręce). O jakże będę Bogu gorąco dziękowała, jak cię przyjmą do ochronki, wtedy spokojna będę, bo pod okiem zacnych i kochanych pań nauczysz się modlić i pracować, a co najważniejsza kochać Pana Boga i ludzi.

Zosia. A przecież ja mamusiu modlić się umiem, już mówię i „Ojcze nasz” i „Zdrowaś” i Wierzę.”

Matka. Mówiś to mówisz, prawda, ale nie rozumiesz dobrze słów pacierza, a ja i czasu niemam i sama dobrze nie potrafię ci wszystkiego wytłumaczyć, ale tam naucz

cię, córuchno, i katechizmu i świętych pieśni, będziesz mogła i w kościele zaśpiewać ze wszystkimi i w domu, szczególnie jak przyjdzie Boże Narodzenie i Wielki post.

Zosia. O! jak to dobrze, bo ja tak śpiewać lubię, ale mało umiem i nie mam z kim; ale mamusia mówiła, że ja się w ochronce będę uczyła pracować, przecież ja taka malutka, ja sił jeszcze nie mam do pracy.

Matka. Prawda, nie możesz jeszcze pracować, jak drudzy, to przynajmniej ucz się nie psuć pracy starszych. Nie możesz drzewa rąbać, to przynajmniej znoś, a nie rozrzucaj; nie umiesz szyć, to przynajmniej nie rozdzieraj; prac nie umiesz, to choć nie walaj czystej sukienki. Tam w ochronce nauczą cię porządku, spędzania pożytecznie każdej chwili i wypełniania woli Bożej—przy modlitwie, zajęciu i zabawie.

Zosia (z radosnym zadziwieniem). Jak to, to w tej słicznej ochronce będzie i zabawa?

Matka. O! i nie jedna, a prawie każda ze śpiewkani, jedna od drugiej weselsza, ani się spostrzeżesz jak prędko przejdzie dzień cały i do domu wracać trzeba...

Zosia (kładąc chusteczkę na głowę). To chodźmy już prędzej mamusiu, żeby tam dla mnie znalazło się jeszcze miejsce, ach! jaka ja będę szczęśliwa! Ale prawda, zapomniałam się mamusi zapytać, kto to dał na wybudowanie tej ochronki?

Matka. Dali i dają ciągle różni dobrzy ludzie, którym Bóg za to stokrotnie zapłaci. Dali, ażeby tysiące dziecięć *ochronić* od złego i dać im początki dobrego wychowania, czyli jak mają żyć pożytecznie dla Boga dla siebie i dla bliźnich. Tu w Łodzi są tymczasem tylko trzy takie ochronki, ale w Warszawie, która jest miastem daleko starszem i większem od Łodzi, jest takich ochronek kilkadziesiąt, są i przytulki, gdzie biedne dzieci mieszkają stale. Spojrz na ten obrazek, który dostałam od jednej pani. Zobaczysz na nim, jak wyglądają dziewczynki z przytulki Św. Zofii w Warszawie.

Zosia. Ach, jakie miłe dziewczynki, musi im tam być bardzo dobrze. Ale jak ja potrafię wywdzięczyć się tym dobroczyńcom naszym?



Hipopotam. (p. str. 158).

Matka. Możesz im ciągle wdzięczność okazywać, najprzód będąc posłuszną tym dobrym paniom w Ochronce, a nam w domu po powrocie, grzeczną dla innych dzieci, wreszcie, modląc się codzień za nich do Boga. No, a teraz chodźmy, niech im wszystkim Pan Bóg błogosławi (*wychodzą*).

X. S. Kuczyński.

HIPOPOTAM.

Od dawna było mojem marzeniem, pisać jeden z niemieckich podróżników po Afryce, przywieźć z podróży po Zanzibarze młodego hipopotama. Zwierzęta te atoli stały się już tak rzadkie, że zaczynałem tracić nadzieję, aby mi się to dało uskutečnić. Dorosłe okazy napotykał się jeszcze od czasu do czasu, wszystkie jednak samice z małemi pochowały się tak dobrze w niedostępnych zaroślach, że nigdzie nie mogliśmy ich znaleźć.

Wreszcie pewnego dnia doniesiono nam, że w rzece Kingani znajduje się samica z małymi. Udaliśmy się natychmiast we wskazane miejsce, zabierając ze sobą łódź, która mogła być przydatną przy takim polowaniu. W marszu trzeba było zachować wielką ostrożność, w stronach tych bowiem bywało już wielu myśliwych przed nami i hipopotamy były tak dobrze obeznane z skutkami broni palnej, że nas sam widok człowieka zmykały jak najszybciej.

Posuwaliśmy się więc ostrożnie przez las ku rzece, gdy nagle doszedł uszu naszych głośny i gruby ryk, przypominający głos wołu, z pewną domieszką chrząkania świni. Hipopotamy były już niedaleko. Podwoiliśmy ostrożność i, prześlizgując się pomiędzy drzewami, stanęliśmy po chwili na brzegu rzeki. Oczom naszym ukazało się pięć hipopotamów. Trzy były zupełnie pogrążone w wodzie, z której wystawała jedynie górna część ich olbrzymiej głowy, z podniesionemi nozdrzami, dwa pozostałe znajdowały się bliżej brzegu na płytkiej wodzie tak, że całe ich grube cielsko, pokryte nagą skórą, barwy niebieskawo brunatnej, sterczało nad jej powierzchnią. Wyraźnie było widać ich niezgrabne czworograniaste głowy z małemi, sterczącemi uszami i oczkami, umieszczonemi tuż prawie koło uszu. W potężnej nieforemnej paszczy z grubemi i mięsistemi wargami, sterczały ogromne zęby, wśród których uderzały wielkością duże kły i siekacze, wystające na zewnątrz. Na karku jednego z tych zwierząt siedział mały, najwyżej kilkodniowy hipopotam, bardzo śmiesznie wyglądający, bo przy małych rozmiarach posiadał już w zupełności niezgrabną i ociężałą postać dorosłych.

Byliśmy więc nakoniec wobec tak długo poszukiwanej samicy z małem! Schwytanie jednak tego ostatniego nie było wcale rzeczą łatwą. Wiedzieliśmy dobrze, iż strzał chybiony może rozpedzić całe stado i pozbawić nas zupełnie pożądanej zdobyczy. Jeżeli byśmy zaś ranili lub nawet zabili samicę, ściąglibyśmy na siebie resztę hipopotamów, są one bowiem bardzo towarzyskie i schodzą się natychmiast w pomoc ku ranionemu towarzyszkowi. Walka zaś z całym stadem nie wchodziła bynajmniej w nasze plany. Trzeba więc było czekać, aż się nadarzy odpowiednia chwila do zabicia samicy.

Na szczęście czekanie nie było długie. Wieczór się zbliżał i hipopotamy wyruszyły na żer, posuwając się w górę rzeki. Samica, z ciężarem na plecach, nie mogła nadążyć za towarzyszami i pozostała znacznie w tyle, nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa. Po chwili straciliśmy zupełnie z oczu tańczy. Samica zaś dopiero zbliżała się do naszej kryjówki. Wyczekawszy chwili, gdy zrównała się z nami, wziąłem ją na cel i wypaliłem. Chybiłem

jednak i zdobycz nasza umknęłaby niepowrotnie, gdyby mój towarzysz, oficer marynarki, nie był wystrzelił zaraz po mnie i nie trafił hipopotama w oko. Kula przez oko dostała się do mózgu i zwierzę musiało napewno zginąć.

Przedtem atoli zebralo wszystkie siły, skierowało się do przeciwnego brzegu, a po chwili łamiąc i przewracając porastające go trzciny i krzewy, zniknęło w zaroślach. Nie było innej rady, jak przeprowić się na drugą stronę. Inne hipopotamy nie wracały na szczęście, mogliśmy więc śmiało spuścić łódź na wodę, bez obawy, że który z tych olbrzymów wyróci ją, a nas poczęstuje swymi potężnymi zębami.

Przeprawiwszy się, wysiedliśmy na brzeg i podążyli za ranionym zwierzem, kierując się wygniecionym ślakiem, jaki pozostawił za sobą. Strzelby nabite trzymaliśmy w pogotowiu, hipopotam bowiem, chociaż łagodny i spokojny z natury, staje się wściekłym, gdy jest raniony, a zwłaszcza gdy broni dzieci. To też ucieczka samicy wydawała się nam dziwną, a nawet podejrzaną, dlatego też podwoiliśmy baczność. Jakaśmy się wkrótce przekonali, miała ona swój cel, uciekając w tę stronę.

Posuwając się zwolna, ujrzelśmy wkrótce przed sobą jakąś olbrzymią masę czerniejącą. Podeszliśmy bliżej i przekonaliśmy się, że była to nasza samica, ale już nie żywa. Wspaniały okaz, 4 $\frac{1}{2}$ metra długi, a jeden wysoki i tak gruby, że na utworzenie jego potrzebaby było z pięć wołów. Nigdy jednak nie było przy niej małego.

Rozpoczęliśmy poszukiwania w zaroślach i wkrótce znaleźliśmy je, kierując się słabym krzykiem, jakiśmy usłyszeli. Mały hipopotam siedział w kępie sitowia do połowy zagrzebany w mule i zasypany nim tak, że tylko głowę jego było widać. Troskliwa matka ukryła go tam, a sama odeszła na stronę, mając nadzieję, iż w ten sposób odciągnie uwagę od kryjówki dziecka i ocali je.

Pozostawiłem zabitego hipopotama krajowcom, którzy przepadają za jego mięsem. Sam zaś wraz z towarzyszem zająłem się odgrzebaniem i zabranieniem małego, którego postanowiłem koniecznie przewieźć w dobrym zdrowiu do Europy.

Przedsięwzięcie te udało się w zupełności, chociaż było połączone z wielu trudnościami i kłopotami. Mały hipopotam, przewany Tommondo, został umieszczony w Berlińskim ogrodzie zoologicznym, gdzie stał się wkrótce ulubieńcem publiczności. Nie żył jednak długo i zginął, pomimo wygód, jakimi go otaczano: powietrze europejskie było dlań widocznie niezdrowe.

Zresztą i w Afryce hipopotamy stają się coraz rzadsze. Olbrzymi ten zwierzę, największy z lądowych stworzeń po słoniu, potrzebuje dużych lasów do życia, ustępuje też wszędzie przed człowiekiem, jak tyle innych dzikich zwierząt. Niegdyś był pospolity w całej Afryce od Egiptu do Kaplandyi, wszędzie, gdzie znajdowały się dość duże wody, w których ukrywa się przez cały dzień, oraz obszerne lasy, zapewniające mu obfitość roślinnego pożywienia, innego bowiem nie bierze. Dziś spotyka go się jedynie we wnętrzu Afryki. Im bardziej się rozszerza cywilizacja, im więcej zjawia się pól uprawnych i plantacji, tem bardziej zmniejsza się ilość hipopotamów. Wprawdzie zwierzęta te nie robią różnicy między lasem, a plantacją i żerują na tych ostatnich bardzo chętnie. Ale zato właścicielom plantacji nie podobają się wcale nocne odwiedziny tych olbrzymich stworzeń, które w ciągu jednej nocy mogą zniszczyć doszczętnie nawet ogromne pole; czego bowiem nie zjedzą, to stratają na nic nogami.

Z tego powodu nawet i rolnicy tępią hipopotamy, o ile takowe ukażą się w ich sąsiedztwie. Jeszcze więcej polują na nie, gdyż zwierzęta te dostarczają wiele cennych produktów: kość z ich zębów jest nie gorsza od słoniowej; mocna skóra, gruba prawie na cal (2 centymetry) używa się na wyrób słynnych batów, wielce poszukiwanych w całej Afryce; mięso zaś i tłuszcz są bardzo chętnie jedzone przez krajowców. Zabicie hipopotama jest rzeczą wielce zyskową: waga tego ogromnego zwierzęcia dochodzi 4000—5000 fun-

tów, może więc ono dostarczyć tyle mięsa, co 3 lub 4 dobre woly. Każdy kiel jego miewa przeszło lokiec (koło 60 centymetrów) długości i dochodzi do 7 funtów wagi; ze skóry zaś można zrobić 300 — 500 batów, z których każdy płaci się po kilka złotych.

Nie można zatem się dziwić, że hipopotamy są bardzo poszukiwane przez myśliwych pomimo trudności, z jakimi połączone jest takie polowanie. Trudności te i sława z zabicia tak wielkiego i, bądź co bądź, groźnego zwierza, sprawiają, iż wiele Europejczyków, udaje się umyślnie do Afryki dla spróbowania tych wrażeń i zdobycia takiej sławy. Ale też zato i ilość hipopotamów maleje wciąż i możliwość polowania na nie z każdym rokiem staje się coraz trudniejszą.

B. Dyakowski.

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Kymbale wyjechał sam; nawet swym braciom po piórze podziękował za ofiarowane sobie towarzystwo; lecz nie idzie zatem, by miał zamiar odosobniać się i oddawać niemyślnym rozmyślaniami. Bynajmniej! Wszyscy podróżni, jakich spotka w swej drodze, staną się mu towarzyszami. Ani mu się też śniło zachować incognito, jak to uczynił Maks Real lub Herman Titbury. O nie, onby bodaj gotów wypisać nawet na swym kapeluszu, „czwarty partner gry Hypperbona” aby wszyscy wiedzieli, że należy do tych szczęśliwych, których los wybrał z pomiędzy setek tysięcy.

Ze zaś był ogólnie w swem rodzinnem mieście znany liczne miał koło przyjaciół, więc w chwili odjazdu żegnał go taki tłum na peronie, tak głośno rozbrzmiewały wiwaty zyczenia, że przytłumiły nawet świst lokomotywy, goniąc ją ruszającym z miejsca pociągiem.

I gdy on sam objawiał takie zadowolenie i taką w sobie pokładaną ufność, gdy oddawna zyskał uznanie wyjątkowo zaradnego i śmiałego, nikt się nie wahał w zakładach jego wygranę i wielkie na niego stawiano sumy, o czym dy się dowiedział, uważał to sobie nietylko za pochlebny, ale więcej jeszcze — za najlepszą wróżbę.

Należąc do tych ludzi, którzy wtenczas najwięcej mylą, gdy mówią, nie pożałuje pewnie w ciągu całej podróży tych słów, tak samo jak nie poskąpi swej sakiewki.

Bo i na cóż mu oszczędzać czy w jednym czy w drugim? Toż wymowa jego jest niewyczerpana, a powielekroć bogata „Trybuna” otworzyła mu swą kasę bez żadnego zarządzenia; może z niej czerpać nietylko na potrzeby, ale nawet na fantazyje, z tem upewnieniem, że jeszcze nie zażył się zbyt, że nadsyłane z drogi opisy, nowelki i artykuły różnej treści pokrywają całkowicie rachunki.

— Ale — zapytał go siedzący bliżej gentleman, skończył typ Yankesa — czy nie przywiązujesz pan nadto wagi do tej gry wymyślonej przez Williama I. Hypperbona?...

— Żadną miarą, szanowny panie! Myśl Hypperbona moim zdaniem jest tak wielka, że mogła jedynie zrodzić się w mózgu prawdziwego Amerykanina.

— Masz pan najzupełniejszą słusność — potwierdził ody kupiec z Chicago. — Oto wszystkie Stany Unii są tem

poruszone i w pamiętnym dniu pogrzebu stwierdziliśmy, jaką popularność zyskał sobie zmarły nazajutrz po śmierci.

— Zapewne pan sam należałeś też do orszaku? — zapytała starszka, cała otulona w pledy, niemniej jednak śledząca uważnie treść rozmowy.

— A jakże, pani dobrodziejko! byłem tam byłem!... należało przecie uczcić naszego wielkiego obywatela — rzekł z widoczną dumą kupiec — i oto teraz mam sobie za zaszczyt prawdziwy, że spotkałem w drodze do Detroit jednego ze szczęśliwych spadkobierców jego...

— A... więc pan jedziesz do Detroit! — zawołał Kymbale, podając mu rękę.

— Tak jest, drogi panie, do Detroit w Stanie Michigan.

— Zatem będę miał przyjemność towarzyszenia panu aż do tego miasta, którego dotychczas nie znam, a poznać pragnę.

— Za mało masz pan na to czasu, panie Kymbale!... — zawołał tak żywo Yankes, że upewnił wszystkich, iż go to więcej obchodzi z powodu postawionej prawdopodobnie sumy na czwartego partnera. — Zatrzymanie się w Detroit przedłużyłoby znacznie pańską podróż, a powtarzam, nie masz pan na to dość czasu!...

— Bądź pan spokojny, ja na wszystko czas znaleźć umiem — odparł dziennikarz tonem swobodnej wesołości, która się udzieliła obecnym.

— Może nie będę nadto niedyskretnym jeśli zapytam pana, czy jesteś zadowolony z rezultatu swego pierwszego rzutu kości? — odezwał się po chwili w poważniejszym już wieku duchowny anglikański, który przez szkła swoich pince-nez przypatrywał się badawczo od samego początku podróży, czwartemu partnerowi.

— Czym zadowolony?... Otóż szczerze mówiąc: tak i nie — odparł Kymbale uprzejmie. — Tak, ponieważ pierwszy moi współpartnerzy zajęli zaledwie przedziałkę drugą, ósmą i jedenastą, podczas gdy ja ilością punktów: dwa i cztery, otrzymałem przedziałkę szóstą, z której od razu przechodzę do dwunastej — wyprzedzając ich wszystkich. Nie, bo Stan Nowego-Yorku zajmujący przedziałkę szóstą z legendowym mostem, który tu przedstawia sławne przejście ponad Niagarą, jest mi aż nadto znany. Samą Niagarę z wodospadem amerykańskim i kanadyjskim, z grotą Wiatrów i wyspą Kozią zwiedziłem bodaj ze dwadzieścia razy; już mi się to wszystko opatrzyło. Zresztą nazbyt to blizkie strony, a ja bym właśnie pragnął być przerzucany po wszystkich kątach Unii — bym przejeżdżać musiał całe tysiące mil...

— Z warunkiem wszakże — wtrącił duchowny — abyś pan zawsze mógł się stawić na wynagany dzień i godzinę.

— Uwaga pańska jest słuszna — ale proszę mi wierzyć, że będę umiał być punktualnym co do minuty.

— Jeżeli panu tak miłe są podróże — zauważył agent wielkiej fabryki konserw — to zdaje się, że początek gry zapowiada się wcale niezłe, gdy ze Stanu Nowego-Yorku przeniesie się musisz bezzwłocznie do Nowego Meksyku. Ziemie te nie graniczą przecie ze sobą.

— Eh, cóż to znaczy jakieś paręset mil!... To żadna podróż.

— Wolałbyś pan być wysłanym do Florydy lub jakiej wioski Stanu Washington. Ale ta przyjemność może cię w dalszym ciągu spotkać... — rzekł z odcieniem pewnej złośliwości Yankes.

— Właśnie, drogi panie, właśnie to zadowolniłoby mię nadewszystko. Przejechać ziemie Stanów Zjednoczonych we wszystkich możliwych kierunkach, z południa na północ, ze wschodu na zachód, jest dawnem mojem marzeniem.

— Ale, jeśli się nie mylę, przedziałka z mostem zmusza pana do opłaty?... — zagadnął duchowny.

— Oh, drobnostka tylko! Przyznasz pan sam, że owe tysiące dolarów nie spowodują ruiny naszej „Trybunie.” Ze stacyi przy wodospadzie wysłę rejentowi Torubrock telegram-czek na konto naszej redakcyi.

— Która go ureguluje tem chętniej — zauważył Yankes — że gra Hypperbona jest dla niej interesem..

— Interesem kolosalnym — przytwardził Kymbale.

— I ja również tak ufam pańskiemu szczęściu, że gdybym się założył, to tylko o twoją wygraną.

— Dziękuję; ale też pewny jestem, że nie przegrałbyś pan — rzekł czwarty partner tonem tak silnego przekonania, jakby owa wygrana tylko od niego zależała.

— A jednak — zauważył duchowny — masz pan przeciwnika, którego mógłbyś się nieco obawiać.

— Kogoż ma pan na myśli?..

— Siódmego partnera, panie Kymbale, tego tajemniczego człowieka, znanego nam zaledwie z inicjału X. K. Z.

— Czyli „partnera ostatniej godziny” jak go nazwa-
liśmy w redakcyi. Ale czemu właściwie ma on być groźniejszy od innych? Wprawdzie tajemniczość jego rozbudziła ogólne zaciekawienie i niech się tem do czasu zabawia, bo nie wątpię, że da nam się w końcu poznać. A choćby też był prezydentem Stanów Zjednoczonych we własnej osobie, nie obawiam się go więcej, jak którego bądź ze „szczęściu.”

Cóż znowu — prezydent Stanów! Alboż możebne, aby testator ośmielił się wezwać do swej gry pierwszą osobę w kraju?

Dla czego nie? W postępowej, wolnej Ameryce, niktby nie uznał za niestosowne, aby dostojnik taki współubięgał się z innymi obywatelami kraju o szczęście zdobycia sześćdziesięcio-milionowej fortuny, chociaż dziennikarz nie brał właściwie tym razem słów swych na seryo, a rzucił je raczej dla tem większego zaakcentowania ufnosci w swe szczęście.

Jakkolwiek całe siedmdziesiąt mil dzieli Chicago od Nowego Yorku, jednak Harris T. Kimbale potrzebował przebyć trzecią ich część tylko, by czyniąc zadość warunkom gry, stanąć u stóp wodospadu Niagary.

Skoro wiozący go pociąg wyruszył z Chicago, okrążył najpierw zatokę jez. Michigan, a dosięgnąwszy Stanu Indiana, graniczącego z Illinois, zwrócił się od stacyi Ainsworth do Michigan City, które wbrew swej nazwie nie należy do Stanu tegoż nazwiska, lecz jest jednym z portów Indiany.

Drogę tę wybrał dziennikarz z pomiędzy wielu innych, dążących do tego samego celu, aby mógł przez New-Buffalo i fabryczne Jackson stanąć w najkrótszym czasie w Detroit, gdzie też przybył w nocy siódmego maja.

Tutaj po parogodzinnem zaledwie spoczynku w hotelu wstał wcześniej z zamiarem spokojnego obejrzenia miasta. Ale oto już wiadomość o jego przybyciu rozeszła się wśród mieszkańców, którzy pospieszyli powitać go gromkimi okrzykami i otoczywszy raz, nie myśleli opuścić w ciągu dnia całego.

Ten dowód życzliwości i popularności miłym był wprawdzie czwartnemu partnerowi, kto wie jednak czy nie wolałby on tym razem zostać niepoznanym, aby swobodniej

móźz przebiegać miasto. Ale jakże tu okryć się obłokiem tajemniczości konoś, kto jak on jest głównym kronikarzem „Trybuny” a nadto jednym z „siedmiu” gry Hypperbona?..

W licznym więc i gwarnem towarzystwie zwiędzał Kymbale miasto założone jeszcze przez Francuzów w roku 1670, a które otrzymało swą nazwę Detroit od cieśniny szerokiej zaledwie na czterysta sążni, przez którą jezioro Huron zlewa zbytek swych wód do niżej położonego jeziora Erie.

Mimo, że tuż naprzeciw rozkłada się miasto Windsor, czwarty partner ani myślał zapuścić się do niego, wiedząc, że stanąłby tam już na ziemi Kanadyjskiej, i tem samem przekroczył jeden z ważnych warunków gry. Zresztą miał czas tak obliczony, że zdążył zaledwie poznać Detroit, licząc dwa kroć sto tysięcy mieszkańców, którzy go podej-
mowali z takim entuzjazmem i darzyli tak szczeremi życzeniami, iż opuszczali ich wieczorem dnia tego jakby dawnych najlepszych przyjaciół.

Gdyby mu było dozwolonem wkroczyć na terytoryum Kanady i wybrać linię kolei, która przerzyna prowincję Ontario i tunelem wykopany pod rzeką Saint-Clair dosięgnąć Buffalo i Niagara—Falls, byłby miał znacznie skróconą drogę. Ale skoro ziemie Dominion były mu wzbronione, musiał przebyć Stan Ohio, zjechać na dół aż do Toledo, które się z każdym rokiem coraz więcej rozwija, omi-
nając Sandusky z okolicznymi, najbogatszymi w Ameryce winnicami, i zaledwie na godzinę zatrzymać się w Cleveland, pięknem mieście, z ludnością dwakroć sześćdziesięciotysięczną, z cienistemi alejami klonowemi i na okolicznych pagórkach malowniczo rozrzuconemi przedmieściami, a którego wzrastające bogactwo stanowią przedewszystkiem niewyczerpane zda się źródła naftowe, którychby nawet Cincinnati pozazdrościć mogło.

(d. c. n.)

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Od Chochlika dla Rozbójnika morskiego.

Z następujących sylab ułożyć sześć wyrazów, których początkowe i końcowe litery czytane z góry na dół, złożą nazwy dwóch bóstw czczonych przez starożytnych Persów.

Sylaby: A—ba—de—gło—ci—di—dom—me—kan—ruhr
u—za—ze—za—o. Znaczenie wyrazów: 1) przystanek dla karawauy. 2) Dopływ rz. Maas. 3) Nazwisko książąt florenckich w XVI wieku. 4) Wyspa na m. Bałtyckiem. 5) Bohater powieści Sienkiewicza. 6) Południowa część Indostanu.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Szurady: Le — o — ni — daż.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna

W Austrii rocznie zlr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Modlitwa majowa, wiersz (z ryc.) — Stare drzewa, przez E. Jankowskiego. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską. — Co to jest ochronka? (z ryc.) — Hipopotam (z ryc.) — Testament dziwaka powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek: — Mały rowerzysta, wiersz. (z ryc.) — Pogadanki naukowe. Ciało lotne przez Zofię Kwiatkowską. — Bajka niani. — Towarzyszka Feluni, przez Izę Moszczeńską. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Pojednani, powieść z czasów Napoleona I-go przez Teresę Jadwigę.

Mały rowerzysta.

Jestem Józio, jeździec śmiały,
W koło świat objeżdżam cały,
Góry, lasy i bezdroża,
A omijam tylko morza.

Nie potrzeba mi konika,
Konik wierzga, bryka, fika,
A mój rumak mnie nie zrzuci,
Chyba czasem się wywróci.

Nie potrzeba owsa, siana,
Stajni, żłobu ni furmana,
Bo mój rumak się nie nuży,
Zawsze gotów do podróży.

Niech nań tylko zręcznie wskoczę,
Zaraz naprzód się potoczę,
A gdy dotknę się pedała,
To wnet pędzę z nim, jak strzała.

Kręcę rączką w lewo, w prawo,
I wymijam wszystkich żwawo,
A gdy kto na drodze staje,
Dzyn! dzyn! dzwonkiem znak mu daję.

Lecz choć wierny i wytrwały,
On już dla mnie jest za mały,
Więc Stasiowi i Jankowi

Dam go, niechaj jeżdżą zdrowi!

Ale przyznam się, że za to
Od tatusia w przyszłe lato
Chciałbym dostać już kucyka,
Choć on wierzga, fika, bryka.



Bo koń to najlepsze zwierzę,
I wszak dzielni ci rycerze,
Co walczyli z Turczynami,
Nie jeździli rowerami.

Pogadanki naukowe.

III.

Ciała lotne.

Wujek Kazio przekonał się, że Janek i Julcia zrozumieli co to znaczy ciało stałe i płynne, i nie tylko potrafili je odróżnić, ale umieją powiedzieć własności ciał stałych i płynnych. Pamiętali oni doskonale, że cząsteczki ciał stałych przylegają do siebie silnie i że trudno zmienić kształt ciała stałego. Wiedzieli, że cząsteczki płynów przylegają do siebie słabo, i że płyny nie mają określonego kształtu. Ponieważ umieli to wujkowi opowiedzieć, zgodził się wyjaśnić im, co to są ciała lotne.

— Lotne! — rzekł Janek. — Jaka to zabawna nazwa. Zupełnie jakby one latały...

— Bardzo dobra nazwa — odpowiedział wujek — bo rzeczywiście, cząsteczki ciał lotnych nie trzymają się razem, a nawet oddalają się jedna od drugiej. Bardzo znaczącym ciałem lotnym albo inaczej gazem jest, co znacie dobrze, co znajduje się wokoło was...

— Co to takiego?

— Nie domyślacie się?

— Jakoś nie mogę... — szepnęła Janek.

— Ależ powietrze, naturalnie.

— Ach, powietrze! To ciało lotne?

— Tak. Cząsteczki powietrzne odlatują chętnie jedna od drugiej i wciskają się wszędzie. Powiem wam jeszcze coś ciekawego o powietrzu. Wiecie naturalnie, że ciała stałe mają ciężar, to jest, że są mniej lub więcej ciężkie.

— No tak. Żelazo jest bardzo ciężkie i drzewo jest ciężkie i węgiel także — mówiła Julcia.

— A płyny czy mają ciężar?

— O tak, karafka z wodą jest bardzo ciężka i dzbanek z mlekiem także...

— A co myślicie o ciałach lotnych? Czy i one mają ciężar?

— E nie... Gdzieżby tam powietrze miało być ciężkie. Ono wcale nic nie waży...

— Źle myślisz, Janku, bo i gazy mają ciężar. Jest taka maszyna, za pomocą której można wyciągnąć powietrze z jakiegoś naczynia. Otóż byli już tacy, co to zrobili. Wzięli naczynie napełnione powietrzem i zważyli je, potem maszyną tą wyciągnęli z niego powietrze, znowu zważyli i przekonali się, że naczynie ważyło teraz mniej, czyli, że bez powietrza ważyło mniej. Znaczą więc, że powietrze ma ciężar. Mają też ciężar wszystkie inne gazy np. znany wam gaz oświetlający, ten, który się pali w latarniach na ulicy. Nie wszystkie one mają ciężar jednakowy. Ale o tem dowiecie się kiedyś później...

— Kiedy wujku?

— Jak pójdziecie do szkoły i zaczniecie się uczyć różnych mądrych rzeczy.

Zofia Kwiatkowska.

BAJKA NIANI.

(Dokończenie).

Wojewoda zadziwił się, że taką dobrą dał mu odpowiedź i spytał się.

— Kto ci to powiedział?

— Moja córka Lila.

— A teraz namyślcie się i powiedzcie mi, co jest na świecie najżarłoczniejszego.

I znowu biedak wrócił do chaty strapiony, ale po chwili córka go znów uspokoiła, bo dała mu odpowiedź.

I znowu wojewoda spytał się na drugi dzień dwóch braci, co jest najżarłoczniejsze?

— U mnie jest wieprz tak żarłoczny, że drugiego takiego nigdzie niema — powiedział bogaty.

Wojewoda uśmiechnął się i spytał:

— A ty co mi powiesz, co jest najżarłoczniejsze?

— Ziemia, wojewodo, ona mieści w sobie wszystkie bogactwa i łakomie je ukrywa w swoich głębinach.

— Kto cię o tem objaśnił, kto cię tego nauczył? — spytał zdziwiony wojewoda.

— Moja córka, Lila — odpowiedział.

— A teraz odgadnijcie tę ostatnią zagadkę. Co jest na świecie najmilsze dla człowieka.

Bracia wrócili do domu. Biedny znów prosił córki

o odgadnięcie zagadki, i zadowolony udał się do pałacu wojewody.

— Cóż na świecie najmilsze człowiekowi?

— Żona mi najmilsza — zawołał pewnym głosem bogacz.

— A ty czy to samo powiesz? — spytał się biednego.

— Nie, sen najmilszy człowiekowi, bo we śnie zapomina się o wszystkich smutkach.

— Czy i to ci kto powiedział? — spytał wojewoda.

— Tak, tę zagadkę odgadła moja córka Lila.

— Powiedz jej, że cię zostanie u niej, bo odgadła wszystkie trzy zagadki. A teraz idź i powiedz jej, żeby przyszła do mnie, ale ani pieszo, ani na koniu, ani na saniach, ani na wozie, ani w ubraniu, ani bez ubrania, i niech mi przyniesie podarunek, któryby nie był podarunkiem. Jeżeli tego nie dokaże, nie uwierzę, żeby to ona odgadła te zagadki, i odbiorę jej cielątko.

Ojciec Lili, wrócił do domu zmartwiony bardzo, i opowiedział wszystko co wojewoda żąda od niej.

— Nie smuć się, ojcze, da Bóg, wykonam i to.

Jakoż nazajutrz zdjęła z siebie sukienkę, okryła się bardzo długą płachtą, która się wlokła po ziemi, tak, że po niej iść mogła i wzięła w rękę gołębia. Stanąwszy przed wojewodą dała mu jako podarunek gołębia, ale ten nie przytrzymał go dość zręcznie i gołąb natychmiast odfrunął. Przeszła więc w przebiegłości chytrego wojewodę i tak go zachwyciła swym rozumem i urodą, że pojął ją za żonę i zabrał do pięknego zamku razem ze starym ojcem.

— A teraz dobranoc wam, czas iść spać.

— Dobranoc nianiu, dziękujemy ci za tę ładną historię — odpowiedziały dzieci, całując nianię.

Towarzyszka Feluni

PRZEZ

JZĘ MOSZCZEŃSKĄ.

(Dalszy ciąg).

— O, ja sądzę, że mąż ci się sprzeciwiać nie będzie. On tak pragnie widzieć cię znów spokojną i weselą, że każde twe życzenie jaknajchętniej spełni. Ja zaś mam nadzieję, że za twój dobry uczynek Bóg ci znowu spokój powróci.

Pani Solimowska coraz bardziej przywiązywała się do tej myśli. Napisała do męża list z zapytaniem, czy się na jej projekt zgadza, a choć nie bała się odmowy, jednak ani Józefowej, ani Maryni nic jeszcze nie mówiła o swym zamiarze, nie chcąc przedwcześnie budzić w nich nadziei, któreby się urzeczywistnić nie mogły. Jedną z Felunią rozmawiała o tem nieraz, bo dziecina sama dawała jej spokoju, wciąż ponawiając prośbę i natarwie domagając się jej spełnienia. Układały więc już ły szereg projektów, gdzie Marynię pomieszczą, jakie

jej sukienki przerobią, jak się dziewczynki razem bawić potem uczyć będą.

Felunia wobec Maryni dotrzymywała sekretu, ale nieraz jednak swędził ją jęczyczek i wtedy obiecywała jej przyjaciółce, że jej zrobi bardzo, bardzo miłą niepodziankę, ale teraz jeszcze o niej mówić nie może.

Nadszedł wreszcie długo oczekiwany list od taty. Pan Solimowski cieszył się bardzo, że jego żona znowu jakieś życzenie objawiła, i że widocznie już otrząsała się z pierwszego odrętwienia po doznanej boleści. Jaknajchętniej zgadzał się na wszystko, prosił tylko o spieszne załatwienie tej sprawy i powrót na wieś, bo już za żoną córeczką bardzo się stęsknił.

Felunia tak była uszczęśliwiona, że zaczęła tańczyć radości, a wesołość jedynaczki rozpromieniła na chwilę nutną teraz zawsze twarz jej kochającej matki.

— Maryniu — zawołała Felunia, skoro tylko jej wykły gość stanął w progu mieszkania — teraz ci wszystko powiem. Pojedziesz z nami na wieś, będziesz moją siostrzyczką i córeczką mej mamy. Będziesz nosiła takie same sukienki, jak i ja, i takie same dostaniesz zabawki. Potem, jak będziemy obie duże, będziemy się razem czyły. Cieszysz się?

Ale Marynia uśmiechnęła się tylko i powątpiewająco patrzyła na Felunię.

— Co też to Feluni do głowy przyszło — powiedziała po chwili; — przecież ja mam swoją mamę i swoją siostrzyczkę. Żadne dziecko dwóch matek niema.

— To nic — odparła bynajmniej nie zniechęcona Felcia. — Dotychczas była twoją mamą Józefowa, a teraz będziemy miały wspólną mamę. Józefowej to przecież wszystko jedno, i tak ma dużo dzieci — a moja mama tak malutko, tak malutko — tylko mnie jedną. Prawda, że o za mało?

— Prawda, to bardzo mało — przywórtzyła Marynia. — Moja mama znowu nas ma za dużo i często mówi, że na tyle dzieci, to się bardzo napracować trzeba. Ale jednak nie wiem, czy mama pozwoli?

— Eh! pozwoli, zobaczysz. Moja mama jej to wytłumaczy, bo mama koniecznie chce cię wziąć za córeczkę. A ty chciałyś?

Na te słowa weszła pani Solimowska, a gdy ją Marynia przywitała, wzięła ją za rączki i serdecznie patrząc jej w oczy, zapytała:

— No, jakże Maryniu, chciałyś jechać ze mną?

Marynia spuściła oczy zakłopotana i na razie odpowiedziała:

— Ja nie wiem.

— A chciałyś mieć takie sukienki jak Felunia? — pytała dalej pani Solimowska.

Maryni aż się oczy zaśmiały z radości.

— O! tak! — zawołała.

— A takie zabawki jak ona chciałyś mieć? — pytała dalej.

— O i jak jeszcze!

— A czy kochałyś Felunię i mnie, czy byłabyś grzeczną, posłuszną córeczką?

— Bardzo, bardzo kochałabym panią, a Felunię już kocham. Byłabym taka gruczna jak Felunia.

— Więc pojedziesz ze mną, dobrze? — zakończyła mama.

Marynia zawahała się — a po chwili zauważyła nieśmiało:

— A mama i tatuś pojedą także? I Antoś i Staś i Józio, i Wicek i Janek? Wszyscy pojedą na wieś?

Pani Solimowska rozśmiała się na to pytanie. Tak daleko znowu nie sięgały jej plany.

— Nie, moje dziecko, ty sama tylko pojechałabyś ze mną. Wszystkich was zabrać nie mogę.

Dziewczynka posmutniała.

— Czy jabym na długo z panią pojechała? — zapytała po chwili.

— Na zawsze, moje dziecko.

— I nigdybym już mamy ani taty nie widziała? — pytała dalej.

— Owszem, ile razy przyjechałabyś ze mną do Warszawy. No, jakże, chcesz jechać?

— Jak tatuś i mamusia się zgodzą, to pojedę — odpowiedziała wreszcie Marynia.

W jej biednem serduszku toczyła się walka. Lubiła ładne sukienki, lubiła zabawki, bardzo pokochała Felunię i przywykła już trochę bawić się w dużych, jasnych i wygodnych pokojach, a pani Solimowska wydała jej się bardzo łagodna, bardzo dobra i słodka. Ale znowu przykra jej była myśl, żeby tak wszystkich swoich porzucić i z oczu stracić, bo przecież jej życie bardzo wygodne nie było, ale miewało też wesołe i miłe chwile. Rodzice narzekali często na biedę, na ciężką pracę a jednakże bardzo ich kochali wszystkich bez różnicy. Chłopaki, jej bracia, czasem bardzo wesołe wyprawiali figielki, mały Wicek był jakby jej wychowankiem, bo go jak piastunka zabawiła od chwili, gdy się czołgać zaczął, a teraz czekała ją ta sama rola przy Janku, który już w swej kołysce się unosił, na nogi stawał, a kto wie, może za kilka tygodni, może za miesiąc, za dwa już chodzić zacznie.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

Ma długie uszy, głos bardzo niemiły,
Bywa leniwy, choć mu nie brak siły.

LAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Turkawka dla białej Gołąbki.

* * * * * Ułożyć 8 wyrazów, aby litery
* oznaczone gwiazdkami złożyły
* imię mężkie 1) 2) Jezioro
* w Ameryce. 3) Miasto w Anglii. 4) Miasteczko w Palestynie. 5) Żona patriarchy
* izrael. 6) Część wagi. 7) Wykrzyknik. 8) Samogłoska.
*
*

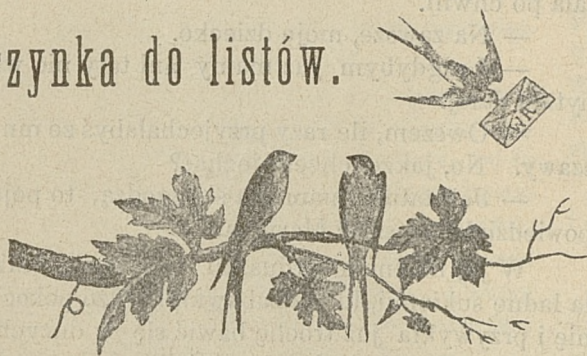
ROZWIĄZANIA DO N-ru 18.

Metagramu: Plug, dług.

Lamigłówni kryształowej:

Z
l a s
k o w a l
c h o i n k a
Z a w i e h o s t
P a c h o l e
P r o s o
o s a
t

Skrzynka do listów.



Od **Jadwisi D.** z Federówki otrzymaliśmy stare marki, które oddamy, gdzie należy.

Ozika Pantera nie podała rozwiązania przysłanej przez siebie lamigłówni. Rozwiązania zadań z nr. 17 dobre.

Napoleon B. zbyt łatwy ułożył arytmogryf, gdyż jak i kilku innych naszych korespondentów, dla każdej litery wybrał liczbę, odpowiadającą jej miejscu w alfabecie, t. j. zamiast a — 1, b — 2 i t. d., przytem jeden wyraz opuszczony.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: **Malina**, **Petroniusz**, **Skrzydlaty Sęp**, **Iskierka**, **Jaskółka**, **Srocza**, **Szarotka**, **Gustawa**, **Jadwiga** i **Roma W.** z **Koni**na, **Orzeł Stępowy**, **Stefan Liedt.**, **Jagoda**, **Janinka Swier.**, **Władzia** z **Marywilla**, **Chochlik**, **Córka L.**, **Zosia S.**, **Marzycielka**, **Rusałka**, **Zawierucha** i **Pani wróblowa**.

Te—Be. Treść ballady „opowiadanie starego rybaka” nie nadaje się do „Wieczorów.” Wiersz „do kwiatka” może zamieścić. Zdolności są, ale trzeba kształcić język i styl na dobrych wzorach.

Sprostowanie. W sprawozdaniu z konkursu w liście nagrodzonych wydrukowaliśmy w skutek nieporozumienia **Helenkę Kryńską** zamiast **Idy Kuczyńskiej**, która otrzymała nagrodę.

List **Mary Ludk.**, bardzo mnie ucieszył, bo przekonałam się, że nie zapominasz o mnie i zmiana wychowawczyni nie wpłynęła na zmianę naszych serdecznych stosunków. Zaginione numera wysłano. Nie omyliłaś się w swym przypuszczeniu, osoba, którą poznała w Redakcyi panna **Ludwika Ż.** jest dawną „**Gołąbką**.” **Józio**, o którego zapytujesz, jest jej bratem, dziś już dorosłym młodzieńcem.

Zawierucha sprawia mi wiele przyjemności dowodami swej pamięci w formie zajmujących listów, „**Stłuczone garnki**” kosztują w Redakcyi 10 kop.: **Wrótcze Leśnej** za pozdrowienia dziękuję i nawzajem pozdrawiam ją serdecznie.

O losach twej lamigłówni **Srebrna Moneta** nic ci donieść nie mogę, bo dzień ten do mnie nie należy, ale o ile jest dobrze ułożoną to prędzej czy później drukowana będzie, a teraz zapewne czeka swej kolei. Za list twój obszerny bardzo wdzięczną jestem, a nie sądzę, że nie mam starszych od ciebie korespondentek, nawet o *kilku* lat starsze panienki pisują do mnie.

Rózcze za mojem pośrednictwem **Srebrna Moneta** uklony i uściśnienia przesyła.

Piszają do mnie ostatnim razem narzekając **Wiochno** na twą

imienniczkę, że pochurną i zimną darzy nas porą, lecz od tego czasu zmienna pani raczyła się uśmiechnąć do nas, dała nam słonce, zieloność i kwiaty na drzewach, musisz ją teraz przeprosić i jak najczęściej korzystać z pięknych dni wiosennych. Świętę spędziłam w Warszawie, na wieś wyjadę w początkach lipca. Jedyń uściśnij, a sama nie zapominaj o mnie, **Wiosna** z **Jaskółką** blisko się trzymać powinna.

Kropelkę Rosy i **Igiełkę Sosnową** najchętniej do grona moich korespondentek zaliczę. Na pierwsze wasze pytanie kim jestem, to tylko odpowiedzieć mogę, że niczem nadzwyczajnym tylko taką sobie „**Jaskółką**”, która bardzo kocha swych młodych przyjaciół i nawzajem serduszka wasze pozyskać sobie pragnie. Za pamięć o moim rodzeństwie bardzo wam dziękuję. **Gołąbka** od lat kilku zamężna, ma dzieci, które już nie zadługo czytywać będą „**Wieczory**.”

List **Wróbelka**, obiecujący mi nową i miłą korespondentką z przyjemnością odczytałam i z odpowiedzią chętnie pospieszam. Proszę cię tylko na przysły raz napisz obszerniej, żebym się mogła zastosować do twego życzenia i obdarzyć dłuższą odpowiedzią. **Lamigłównę** odgadłaś dobrze.

Dzierlatce za opisanie wakacji świątecznych bardzo dziękuję. Mnie święta zeszły dość cicho, nie wyjeżdżałam nigdzie, a dalszym spacerom pogoda nie sprzyjała. Imienniczkami nie jesteśmy, imię moje bardzo często używane.

Marylka z **Włodzimierskiej** musi mieć łatwość w pisaniu listów, bo bardzo dobrze opisała mi rezurekcyę, żałuję, że braku czasu nie pozwolił jej listu przedłużyć, spodziewam się że mi to zechcesz wynagrodzić następnym razem.

Biała Stokrotka i **Mrówka P.** dwie siostrzyczki, a każda inaczej przedstawia sobie „**Jaskółkę**,” otóż co do wieku i usposobienia, **Stokrotka** ma rację, jestem jeszcze nie stara i wesola, ale zdaje mi się, nie zbyt ładna. Wieś znam bardzo dobrze, chociaż stale mieszkam w mieście, ale co roku kilka miesięcy spędzam na wsi i w ocenianiu przyjemności wiejskich podzielam wasze zdanie. Chętnie pożyczylabym teraz skrzydeł od jednej z moich imienniczek, przyfrunęła do was i nacieszyła się świeżym zielonym polem i lasów, a zacerpnąwszy cały zapas świeżego powietrza, powróciłabym do mych zajęć, które jeszcze przez czerwiec zatrzymać mnie będą w Warszawie.

Rusałka bardzo dobrze rozwiązała zadania, tylko nie doniosła o sobie, siostrzyczkach i małym braciszku, na raz następny oczekiwać będę obszerniejszych wiadomości, a tymczasem pozdrawiam was serdecznie.

Safirze (a dawniej **Szarotce**) życzę byś jak najprędzej wyjechała odetchnąć świeżym powietrzem, gdy ci ono dla zdrowia potrzebne. Ze wsi tembardziej możesz pisywać do mnie, bo będzie miałem więcej wolnego czasu, a ja do końca czerwca odpisywać będę moim korespondentom. Od **Nadziei** otrzymałam rzeczywiście krótki liścik, ale tak ją, jak ciebie, znam tylko pod pseudonimem, nie wiem zatem czy jesteście kuzynkami.

Petroniuszowi i **Frydze** za ozdobne kartki bardzo dziękuję, tej ostatniej żądane książki posłano. Wolę pseudonim **Chmurka**. **Gwiazdka** z **Zacisza** nie potrzebuje się troszczyć, jak ma nazywać, bo wszystkim powtarzam, że jestem i pragnę dla was pozostać tylko „**Jaskółką**.” Za obietnicę bliższych szczegółów o sobie i rodzeństwie bardzo ci jestem wdzięczną, oczekuję następnego liściku, a tymczasem dziękuję ci za dobre o mnie wyobrażenie.

Pani Wróblowa musi być rada z przyznanej nagrody; wysyłam ją z uwzględnieniem twoich życzeń, wyrażonych w ostatnim liście, który wraz z dokładnym twym adresem otrzymaliśmy dopiero przed paru dniami.

Gospościa przysłała mi bardzo ładnie zasuszone kwiatki, nie wątpię, że ułożenie zielnika uda ci się dobrze. Liścik twój z prawdziwą przyjemnością odczytałam. Żądane 2 powieści w oddzielnych książkach możemy wysłać. „**W krainie Gwებროვ**” wyczerpane. **Panienska**, o którą zapytujesz w ostatnim liście, mieszka w okolicach Warszawy.

Jaskółka.